



PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBURG**

EKSPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austryackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

DO KOBIETY.

Kobietko!

Na oceanie żywota,
W bezmiarze czasu, przestrzeni,
Jako jutrzienka tys złota,
W którą z zachwytem wpatrzeni,
Za jej żeglujem podnieta...

Żrenice,
Któremi wnikaszk w serc głębie,
Szukając dla się ostoi,
Są, jak na skalnym dna zrzebie,
Gdy toń się w wiry uzbroi,
Dwie bezpieczeństwa kotwice...

A żagle—
To są twych marzeń welony,
Kiedy się w pełni rozwiną,
A wiatr z przyjaznej, im strony,
Po nad powierzchnią wód siną,
Powieje z pluskiem fal nagle...

Kajutą —
Jest wnętrze serca twojego
Dokąd my, w życiu swem krótkiem,
Od losu chronim się złego,
Przed troską, żalem i smutkiem,
Przed życia męką odczuta...

Nie skona
W zdradnym żywota odmiecie
Ten, kto za głosem anioła,
W krytycznym życia momencie,
W twoje objęcia paść zdoła,
Jak w zbawcze masztów ramiona...

Dopłyną
Do cichej pragnień przystani
Wszyscy, coć wierni zostaną.
Strudzeni, słabi, stroskani,
Z duszą przez burze stargana,
Z miłości żądzą jedyną...

Lecz trzeba,
By miłość sterem ci była,
Zaś wiedza światłem jedynie,
Byś z oczów dróg nie traciła,
Co, ku cnót wiodąc wyżynie,
Podnoszą myśli do nieba...

Boć nie to
Jest twoim blaskiem i chluba,
Co treść pozwala swą nikłą
Ziemią ogarnąć rachubą,
Lecz to, co czynić cię zwykło —
Z serca i z ducha kobietą!...

Wiktor Dzierżanowski.

POSTACIE NIEWIEŚCIE

w poezjach L. Kondratowicza.

Studyum psychologiczno-etyczne

przez

Stanisława Ostrowskiego.

(Dalszy ciąg).

Mniej szczegółowemi rysami nakreślona jest postać Maryi z poematu p. t. „Marcin Studzieński.” Główną postacią tej gawędy jest młody, całkiem ubogi szlachcic, który pokochał nadobną córkę bogatego mieszczanina, rajcy Stefana Kotwicy. Po raz pierwszy ukazuje nam poeta młodą, nawzajem w sobie zakochaną parę na wieczorze w domu Kotwicy. Oto widzimy dziarskiego pana Marcina, jak ochoczo wiedzie w tany córkę gospodarza: oczy obojgu goreją ku sobie jak gwiazdy, serca biją przyspieszonym a zgodnym tętnem. Przez cały wieczór pan Marcin zabawia uroczą Maryę; po tańcu zasiada przy niej, pieści jej rączkę, szepce do ucha, — „a ona rada, śmieje się, słucha, ochłodzi oddech—i wtaniec znów...” Na te zaloty niezycziwem okiem patrzy ojciec Maryi: zamożny mieszczanin, dumny ze swego rajcowstwa, ze swego mienia, ma ubogiego szlachcica za hetkę pętelkę—nie takiego pragnie sobie zięcia. Szuka on dla swojej jedynaczki jakiego bogatego mieszczanina, kupca, któryby ze znacznym grosza zasobem przystąpił do korzystnej z Kotwicą spółki handlowej.

mieszczanństwo również przy na szlachcica w swem się szmery i groźby — otwarcie wypowiada swój u. Szlachcic — dotknięty tą puszcza dom Kotwicy, rzucił nie bolesne spojrzenie Maryi, edziała splakana.

rusza na wyprawę przeciw pustoszący Tatarom. Wie o tem Marya; chociaż wiona towarzystwa i widoku ukochanej została mu przecież w myślach wierną, a mu duszą całą i sercem. Myśl o tem, że ukochany może już nie powróci z wyprawy, natchnęła kochające jej serce myślą zobaczenia go jeszcze przed odjazdem, pożegnania go i dodania mu otuchy. Bez wątpienia, spełnienie tego zamiaru nie było łatwe, wykraczało bowiem przeciw woli ojca oraz przyjętym zwyczajom. Wiedziała, że naraża się na gniew ojca z jednej strony, z drugiej zaś naraża swą sławę. Miłość jednak w jej sercu silniejszą jest nad wszelkie względy postronne — i oto widzimy ją śpieszącą w płaszczu poza mury miejskie do gaju, gdzie ma umówione ze Studzińskim spotkanie, aby powiedzieć mu tam na drogę: „szczęść Boże!“ Stawia się na czas oznaczony p. Marcin już ubrany do drogi — aby pożegnać ukochaną na długo — może na zawsze. „Już nas odjeżdżasz, panie Marcinie?“ temi słowy powitała ukochanego dziewczę i ze łzami poczęła wyjawiać przed nim cały lęk, jaki czuje o jego losy; jej kochające serce drży przy samej myśli, ile to niebezpieczeństw grozi ukochanemu. Pyta więc go z troskliwością iście niewieścią: czy jego pancerz dosyć jest gruby? czy jego pawęż dosyć jest zwinna?... Mówi mu wprost, że nie przeżyłaby jego śmierci: „mnieby zabiła tęsknota po tobie!“ i żegna go słowami otuchy:

„Panie Marcinie! wracaj nieboże!
A pierś sklepiście okrywaj zbroją,
Rodzice moi zgodzą się może,
Będę szczęśliwą — bo będę twoją...“

Uspokaja ją młodzieniec, jak umie. Nastąpiła wreszcie chwila rozstania: on ucałował splakane jej oczy, wskoczył na koń i pędem puścił się w drogę, a ona —

„Ona została z tłumionem łkaniem,
W cichej nadziei, w cichej obawie;
Krzyż na powietrzu skreśliła za nim
I do modlitwy kłękła na trawie.
Nie było zakłęb, ani rozpacz,
Jeno kochanie, jeno tęsknota...“

Marya w rozłącze z ukochanym tęskniła za nim pokryjomu, posyłała za niego modły gorące do niebios, uczęszczała do krat pokuty, aby podzielić się z Bogiem bolesną troską. Nie ocaliły jednak jej modlitwy zdrowia pana Marcina: oszczep mongolski strzaskał mu ramię, strzała tatarska utkwiała mu w piersi — zachwiał się nasz młodzieniec i padł na ziemię napół martwy... Tymczasem w Wilnie, gdzie mieszka właśnie Kotwica z córką, umiera biskup, Wojciech Tabor, starzec wielce zasłużony, czczony i kochany przez mieszczan. Umierając, w obliczu zebranych przy jego łożu dostojników miasta, oznajmia ślub swój, uczyniony Matce Bożej, i prosi burmistrza o jego spełnienie: gdy już dzwon oznajmi miastu jego zgon, niech pierwszemu, wchodzącemu nazajutrz po jego zgonie do bramy miasta człowiekowi wypłaci pięćset kóp groszy, które są na ten cel złożone w komorze. Tegoż dnia jeszcze umarł bogobojny pasterz, a na drugi dzień o święcie pierwszym przychodnim, który zjawił się w bramie miasta, był pan Marcin, uleczony już z ran i wracający w nędznej odzieży i o kiju do rodzinnego grodu.

Innem już teraz okiem spojrzął rajca Kotwica na szczęśliwego posiadacza owych pięćset kóp groszy, niż dawniej na uboższego szlachcica... chętnie zezwolił na małżeństwo, i p. Marcin poprowadził do ołtarza drżącą ze szczęścia i wdzięczności ku Bogu wierną Maryę.

Postać Maryi, skreślona niewiele rysami, mniej wszechstronnie występuje przed nami, niż inne przytoczone powyżej postacie niewieście Syrokomi, daje nam też mniej bogaty materiał do szczegółowej analizy jej charakteru. Ogólne wszakże wrażenie, jakie odbieramy od tej postaci, jest dodatnie i nadzwyczaj sympatyczne, co daje nam prawo do postawienia jej w rzędzie wyborowych pod względem moralnym i estetycznym kreacyj naszego poety.

We wszystkich prawie poematach i gawędach, któreśmy dotąd przeglądali, wyprowadzone przez poetę postacie niewieście należą po większej części do stanu uprzywilejowanego w społeczeństwie, do szlachty, przeważnie uboższej, zagonowej, t. j. tej mianowicie warstwy, do której nasz poeta był najbardziej zbliżony duchem i sercem i którą znał najlepiej. Klasa ta bardzo wyraźnie wyróżniała się od innych warstw społeczeństwa: od stojącej ponad nią sfery możnowładczej, arystokratycznej — i od stojących pod nią mas ludu. Od obu tych warstw skrajnych zarówno była daleka: od pierwszej różniła się głębokim przywiązaniem do wszystkiego co swojskie, nad ciemnotą zaś drugiej górowała wyższą bądź co bądź kulturą, oraz daleko wstecz sięgającą tradycją. Wszystko to nadawało jej odrębne i nadzwyczaj charakterystyczne rysy, cechujące zarówno całą masę, jak też pojedyncze jednostki. Ztąd ta plastyka, ta niemal rzeźbiarska wypukłość i wyrazistość rysów, jakie odnajdujemy w kreacjach Syrokomi, zaczerpniętych z tej mianowicie sfery naszego społeczeństwa.

Jest atoli między niewieściami kreacyami Syrokomi typ od powyższych zupełnie odmienny i różny — typ czarującego swą prostotą i świeżością dziewczęcia ludu. Mówię o Oksenie, córce gajowego Ułasa. Bez wątpienia, typ taki, dzięki swej pierwotności i prostocie, nie przedstawia tej głębi psychologicznej, jaka jest zawarunkowana w jednostce wyższym stopniem kultury społecznej i indywidualnej, dla artysty i poety jednak brak ten sówicie bywa wynagrodzony bogactwem i różnorodnością bardziej pierwotnych cech charakteru, jakimi są: nieporównany wdzięk prostoty, szczerze i świeżość uczucia, bujna żywotność, są to bowiem cechy, wymagające właśnie dziewczęcego gruntu natur pierwotnych i prostych.

Taką właśnie naturą świeżą, pierwotną i prostą jest Oksena. Wychowana od dziecka w lesie, zna wszystkie kręte ścieżki puszczy, wszystkie jej tajniki i ostępy; zna je równie niemal dokładnie, jak kąty swego podwórka, na którym dogląda drobiu i bydła, jak wszystkie grządki swego ogródka, w którym pielęgnuje kwiatki i sadi warzywo. Podobnież zna całą puszczy, i czuje się w niej jak w domu, wśród niezliczonych drzew — jak pośród dobrych swych znajomych. Nieraz, zbierając w lesie grzyby lub jagody, zajdzie w głąb, w taką gęstwinę, gdzie — zdawałoby się — węzowi nawet przebić się trudno przez sieć splątanych liści, zwalonych kłód, wyrwanych z ziemi korzeni — a jednak i z takiego ostępu zawsze bywało trafi do chaty, kierując się „po słońcu, po wietrze...“ Same drzewa wskażą jej kierunek i wyprowadzą. Znajomość ta puszczy, to ciągle w niej przebywanie wyrobiły w dziewczęciu zręczność, zwinność i odwagę. Niczego też nie lęka się w puszczy: ujdzie od spotkanego na barci niedźwiedzia, a na „złego człowieka ma nóż w pogotowiu.“ Inne to niebezpieczeństwo grozi dziewczynie w lesie, od którego nie ujdzie, ani się nożem obroni, to samotność dumki następcząca, to do marzeń dziewczęcych kołysząca cisza... to piosenka uroczą o pięknym królewiczu, która „drażni gorejące jej serce“ i ciągle brzmi jej na ustach. I oto raz zdarzyło się — jak gdyby sen czarowny w życie się wcielił i bajka przemieniła się w rzeczywistość: raz, gdy ojca w chacie nie było, nadjechał śliczny młodzieniec zupełnie jak królewicz w piosnce — na koniku wronym, zapukał do okienka i zapytał o drogę. Wysła tedy Oksena przed chatkę pochylą —

„I drogę ukazała, i odpowiedziała,
I rumieńcem spłonęła wieśniaczka nieśmiała.
Prosił o szklankę wody, — podała ją żwawo,
Kryjąc twarz zapłonioną w odzieży rękawo...“

Lecz ukryć wzruszenie było coraz trudniej, bo oto koń spragniony zarżał do studni i młodzieniec, zeskoczywszy z siodła, powiódł go do wody, a ona wskazywała ścieżkę, aby nie zagrzeźli; wiadro przy studni było ciężkie, więc oto oboje „wspólnymi siłami, rumieńcem oblani, wywlekli wiadro wody...“ Koń się napił — i piękny panicz ruszył wskazaną sobie drogą i skrył się w gęstwinie, a „jej się oczy od lasu oderwać nie mogą...“

Nie dziw, że ów piękny młodzieniec, tak nagle zjawiony przed chatą, wydał się dziewczynie pięknym jak anioł i strojnym jak królewicz. Rozkołysała się więc do reszty wyobraźnia żywawo dziewczęcia i mocniej zabiło serce. Długie musiały być zapewne po tem spotkaniu dumki dziewczęce, tęsknoty jakieś nieokreślne i sny czarowne. Żyła wśród nich dziewczyna jak w kole zaklętym, dopóki ją zeń nie wywiodła słodsza nad sny rzeczywistość. Ojciec Okseny, stary Ułaz, był na usługach u ślicznego panicza, a często nie domagając i czując już gasnące swe siły, musiał nieraz wyręczać się córką. Na każde takie zlecenie ojcowskie Oksena „pokraśnieje i zarazem poblednie, i zrzuciwszy domowe odzieże powszednie, stroi się tak jak do cerkwi — próżniejsza od dzieci, i korale zawiąże, i główki zakwieci, a wyszedłszy do lasu na pełną swobodę, rozweseli piosenką swoje serce młode...“ Chociaż poeta to strojenie się nazywa „próżnością“, czujemy jednak, że to jest raczej niewinna pustota i chęć okazania się paniczowi jak najśliczniejszą, chęć płynąca z przepelnionego uczuciem serca i o sto mil daleka od wyrachowanej na chłodno zalotności. Uczucie — szczerze, proste i gorące — wypelnia jej serce aż po brzegi, i nie mogąc się w niem zmieścić — wylewa się na zewnątrz piosnką radosną. Śpieszy więc przez las znajomą sobie drożyną, szczęśliwa, bo zobaczy ukochanego swego panicza, swojego Jaska złotego, o którym już wie, że także ją kocha... Nie zawsze jednak zastaje go na wyznaczonym miejscu; wówczas powraca smutna i trwożna o niego: „świat wówczas nie ma dla niej uroku, i główka pochylona, i łezka na oku, i szum lasu niemiły, jak w dobie porannej...“ Jest to charakterystyczny rys natur wrażliwych i prostych, że wrażenia swe przenoszą na otoczenie, na przyrodę, która wespół z niemi zdaje się radować, trwożyć lub smucić. W takie chwile smutku jedyna modlitwa jest dla dziewczęcia pocieszeniem i otuchą: „jeden chyba obrazek Przenajświętszej Panny zdołałby wypowiedzieć modlitwę sierocą: czy to serce boleje? czy lęka się o co?“

Oto widzimy ją raz, przedzierającą się ostrożnie przez zarośla w miejscu, gdzie ją spotyka pan Jan. Drżąc a łzami zalana, wyjawia przed swym ukochanym niepokój swój i obawę o niego, dowiedziała się bowiem, że czynią nań zasadzkę. Serce jej, tknięte przecuciem, tak drży „jak gdyby miał piorun uderzyć...“ Zaklina go więc ze łzami, aby się strzegł, by uchodził ztąd jak najprędzej; nie uspokoją jej słowa ukochanego, na które odpowiada dziewczę ze łzami:

„Jak to wam łatwo mówić! — Oksena odpowie;
Za nic macie lzy drugich, za nic własne zdrowie!
Wy pójdziecie gdzieś dalej na żywot tułaczy,
A nas zmoże niepokój — ja... untrę z rozpacz...“

Czujemy, że te słowa wprost z serca pochodzą... Nie jest to żadna affektacja, lecz prawda, której dziewczyna jest pewną. I znów go błaga, by się oddalił od groźących mu siódł:

„Jedźcie!... my damy na mszę, niech was Bóg
[zachował...
Biednaż moja głowa!
Och! jak mi się w niej kręcił... jak szumi — jak pali!...“

*Na coście biedne serce tak rozkołysali?
Bez was mi nie ma światła!...“*

Słyszemy więc tu mimowolny wyrzut, który wyrwał się z ust dziewczyny może bez jej woli i chęci, który zresztą zaraz pokrywa szczerem, wprost z serca idącym wyznaniem, że bez niego nie ma dla niej szczęścia, ni świata. Gdy ukocha-

ny nie ulega jej namowom i wspomina coś o poświęceniu swej mogiły, przerywa mu wybuchem płaczu Oksena i „zawodząc boleśnie i łkając bez miary,“ uczepliła się jego odzieży —

„On ją tulił do piersi—i rozpacz zboląła Pierwszy dwojga kochanków uścisk wywołała.“

Lecz Anioł-Stróż czuwał nad nieszczęśliwą; dziewczę opamiętało się i odskoczyło trwożliwie od młodzieńca, który też, wspomniawszy na swój obowiązek i powinność, uściśnął jej rękę, poprosił o modlitwę i odszedł.

W końcu obawy i trwoźne przeczucia Okseny sprawdziły się; dowiedziawszy się o chwili zasadzki, śpieszy dziewczę wpół żywe z trwogi, aby uprzedzić ukochanego o grożącym mu niebezpieczeństwie. Niestety jednak—przybywa za późno. Oparta o drzewo—bezsilna—widzi katastrofę:

„Twarz jej żółkła, zczerniała—już biedne nie-
[boże
Ani się zarumienić, ani zblednąć może,
A gdy Jaśka-sokoła wiązano we sznury,
Tylko uśmiech w jej twarzy odbił się ponury,
Lecz ani drgnęły oczy, ani łzy jej płyną...“

Bolesć uczyniła ją niby kamienną, nieruchomą, niezdolną ruchu, ani głosu... Tak klęczącą dojrzał jeden z przyjaciół Jana, i sądząc, że to ona naprowadziła zasadzkę, wycelował w nią dwururkę i dwie kule utkwiły w piersi dziewczyny...

Oksana—oprócz Marty z „Wielkiego Czwartku“ — jest jedyną niemal postacią Syrokomli, wziętą z ludu. Jej żywa, świeża natura, jej kochające, gorące serce, które nie umie rozumować, tylko czuje głęboko i silnie, jej wybuchy rozpacz i trwogi,—wszystko to uderza nas swoją szczerością, prawdą i siłą żywotną, wstrząsa wrażeniem silnym i nadaje całej postaci cechy prawdy i życia.

(Dalszy ciąg nastąpi)

Kazimierz Gliński.

KRZYWDA

POWIEŚĆ.

(Dalszy ciąg).

X.

List i marzenia.

Z pobliskiej poczty codziennie przywożono do Górek listy i gazety. Podczas nieobecności panna, Sawko zabierał wszystko i w przeznaczonym na to miejscu na biurku składał. Tak i tym razem było, gdy goście nawiedzili dom Grudowskiego, a on pannie Matyldzie pomagał w przyrządzaniu herbaty.

Pan Hipolit zbliżył się do biurka i zauważył list jeden, pisany ręką brata. Rozerwał kopertę, z której wypadła fotografia.

— To pewno panna Teofila,—szepnął.

Przypatrywać się zaczął.

Naręczona Henryka była przesliczną istotką. Do skończonej piękności pretensji mieć nie mogła, nie pociągała nawet niezwykłym urokiem swej malutkiej figurki, lecz w wyrazie oczu i ust, całej zresztą twarzy i postaci, było coś takiego, co mówilo: „nie oprzesz się mnie — jestem uosobieniem pokusy, wcieleniem śmiertelnego grzechu, który, choć do piekieł prowadzi, na ziemi raj obiecuje.“ Oczy, widocznie czarne, z dziwną przenikliwością patrzyły z tej podłużnej kartki brystolu, pewne siebie i nieublagane zwyciężkie. Jakież musiały być

w rzeczywistości, gdy się ogniem zapala i postanowią dokonać podboju?

— Szataniatko!—mruknął pan Hipolit i wziął się do odczytywania listu brata.

Henryk pisał:

„Kochany Hipolicie! List niniejszy wysyłam do Ciebie, chcąc Ci donieść o wrażeniu, jakiego doznała mama przy pierwszym poznaniu się z panną Teofilą. Obie panie podobały się sobie i przyłgnęły do siebie odrazu. Nie chcę być złośliwym, lecz, że *amicus Plato, sed magis amica veritas*,—zatem powiem, iż moja naręczona podbiła odrazu serce mamy doskonałą francuzczyzną (bo jak rodowita paryżanka włada tym przedwipnym językiem), a następnie wdziękiem całej postaci, o którym będziesz miał bardzo słabe wyobrażenie z załączonej tu fotografii. Gdybym chciał określić, tę moją naręczoną, a żonę w przyszłości—doprawdy, że w żadnym języku, żyjącym, czy umarłym, wyrazów bym nie znalazł. Znajdziesz tam wszystko, doprowadzone do pół potęgi tylko: trochę ziemi i trochę błękitów, wszystko, co niebo zna najgorszego a piekło najlepszego, anielstwo przeszkardne i szataństwo przemile, zupełne poddanie się twej woli, by stać się razem monarchią wszechwładną. Czasem się jej boję i chciałbym uciec przed nią, a czasami gonilibym za nią, choćby mnie prowadziła na dno przepaści.

Pamiętasz, kochany Hipolicie, że, gdym przed Tobą, opisywał jej postać w czasie naszej pogawędki w Górkach, dość oziębło wspomniałem o niej, i nie myśl, że kłamałem wtedy. Tak zawsze bywa, gdy jej nie widzę. Ale bądź przy niej, patrz na nią, czuj jej spojrzenie na sobie— a poprostu dyabli cię biorą, że się tak trywialnie wyrażę. Zresztą, co tu długo rozwodzić się nad tem wszystkim: mama oczarowana, pierścionki zamienione, dwakroć sto tysięcy zapewnione intercyzą, a ślub ma się odbyć, jak ci już, zdaje się wspominałem, w dniach pierwszych karnawału. Oczywiście, że wedle przyjętego zwyczaju w świecie wyższym, hasać po parafjańsku nie będziemy, lecz prosto z kościoła na kolej i przez Wiedeń do Włoch, na samo południe, by nie naszych gorących uczuć nie zmroziło i nie przeszkodziło cudnym, wiśniowym marzeniom. Moja pani ma wielką ochotę o Kair zawadzić i ze szczytu piramidy spojrzeć na ziemię Faronów. Nie sprzeciwiam się tym zachciankom, bo i mnie się ta wycieczka do kraju krokodyłów uśmiecha, a kto wie, czy poraz drugi zdarzy mi się podobna sposobność i to w najponętniejszych warunkach. Jak więc już rzekłem, mama jest oczarowana nią, Lwowem i towarzystwem, a nie mam Ci potrzeby nadmieniać, że w skład jego wchodzi najwyższa arystokracja kraju.

Ale, ale, nie powiedziałem ci o jednej a najważniejszej rzeczy, która też była najgłówniejszym powodem skreślenia obecnego listu.

Wyjeżdżając z Górek, wziąłem fotografię Twoją z albumu. Zdziwisz się, bo jej nie miałem. Prawda, nie miałem, ale Ty, skąpcze, posiadałeś ją w albumie swoim. Przejrzyj że teraz album. Jest? Niestety! Jedna strona została opróżnioną nieprzywoicie. Ha, stało się! Wybacz mi ten czyn karygodny; w stosownej chwili własność Twoją powrócę, a teraz musiałem się Tobą pochwalić przed panną Teofilą.

Myślisz może, żeś się nie podobał? Przeciwnie,—podołałaś się, nad spodziewanie nawet moje: „To brat pański?“ spytała. „Tak. Jakimże się on pani wydaje?“ ja na to. Patrzyła długo, a później tak mówiła o tobie zaczęła: „Ogromna siła woli—hart prawdziwie męzki—uczucie wielkie, lecz serce śpiące, które się chyba rozbudzi pod gorącym lawą wulkanicznej.“ Krótko, a węzłowato,—lecz nigdy prawdziwszego portretu opisanej postaci nie widziałem. Odtąd parokrotnie musiałem jej opowiadać o Tobie. Dziwiło ją osobnienie Twoje, zdumiewała wytrwała praca, zastanowiła się nad moimi słowami, gdym rzekł, że dotychczas nie uległeś żadnej pokusie niewieściej. Kazała Ci przesłać ukłon czy uścisk ręki, już nie pamiętam dobrze, a fotografię zatrzymała u siebie aż do czasu następnego powrotu do Grudowa. Słowem: mama

się rozplywa, ja się rozplywam i Ty się wkrótce rozplywać będziesz.

Tymczasem zrób, o co Cię proszę: Przed samym wyjazdem sprzedałem Ziemanowi ze Zwolenca resztę lasów Grudowskich, za które, według warunków wypisanego w kontrakcie, przypadającą sumę rb. 60,000 (wyraźnie sześćdziesiąt tysięcy) obowiązany jest złożyć d. 1 Stycznia 187... r. w ręce pana Hipolita Grudowskiego, dziedzica Górek i Piasków. Tak napisano w kontrakcie—warunków zmieniać nie sposób. Otóż, proszę Cię serdecznie, kochany Hipolicie, odbierz w dniu oznaczonym wyżej wzmiankowaną należność i wyslij natychmiast przekazem do Wiednia (adres niżej), gdzie z Länderbanku natychmiast ją odbiorę. Ażeby czasem Zieman nie kręcił, wskazałem na Ciebie, bo „ogromna siła woli, hart prawdziwie męzki, uczucie wielkie, choć serce śpiące,“ nie pozwolą mu w żadne szacherki się bawić.

Tous à Vous

Henri.“

— Grudowskie lasy sprzedane! — westchnął Hipolit... Wzruszył ramionami, podobnie przyszej bratowej odrzucił na bok i wziął się do odczytywania gazet. Nie szło mu to jednak; z nadto miał myśl przepełnioną wypadkami dnia, ażeby go mogły obchodzić różne kombinacje polityczne, tajemnice stanów i przez zagraniczne gazety półgębkiem wyprowadzone wnioski.

Zaczął się przechadzać.

Parokrotnie przeszedł gabinet, jadalny pokój przemierzył i znalazł się w salonie. W jadalnym pokoju mignęła przed nim panna Matylda z czajniczkiem w rękę, w salonie widział ją siadającą do fortepianu, a gdy wyszedł na balkon oświetlony pełnym blaskiem księżycą, słyszał najwyraźniej klekot młyna i szum spadającej wdół wody.

Usnął spokojnie i przebudził się bez marzeń żadnych.

Jasność dnia otrzeźwiła go zupełnie. Zaczął się zastanawiać nad sobą i dziwne ztąd wnioski wprowadzać.

„Wczora?“

„Co to było wczora?“

„Jakiś sen, marzenie—przyjemne wprawdzie, lecz śladu nie zostawiające po sobie...“

„Panna Matylda?“

„Hm,—myślał—wywierała na mnie jakiś urok niepojęty, od którego otrząsnąć się nie mogłem. Chciałem ją przytulić do siebie, objąć i całować—“

„A jednak?...“

„Nie kocham jej jednak—to jasne, jak dzień biały! bronil się napływającym myślom. Miłość—powiadają rzeczoznawcy — jest połączeniem uczucia z tęsknotą. Kocham, gdy ją widzę,—gdy odchodzi, nie tęsknię po niej.

„Lecz może choć widzieć pragnę?“

„Nie i to mi jest obojętne zupełnie—“

„Więc cóż to jest, na Bogal co mnie w jej obecności pociąga do niej?“

Po chwili szepnął:

„Zmysły, tylko zmysły!...“

„A dusza, a serce? Może-ż być miłość bez ich udziału?“

I odpowiedział:

— Może,—lecz jaka to miłość!...

„Cierpliwości jednak—nie od razu Kraków został zbudowany. Zmysły są organami duszy, nasamprzód one zostają pociągnięte urokiem ciała, a później dusza za niemi pójdzie. To zdaje się jest ogólne prawidło, wyjątki może bywają, lecz ja nie należę do nich.

„A może już zestarzał—szepnął po chwili—i nie obudzi się już nigdy przedwcześnie serce i dusza nie odezwie się już nigdy!...“

Doznał uczucia przykrości, kilka kropel gorącego potu spłynęło mu z czoła, a policzki piec ogniem zaczęły.

Po chwili dotkliwego cierpienia znów myślał: „A jednak, gdybym ją codziennie widywał krzątającą się i potrzebującą usług moich, nie byłoby tak pusto i smutno wśród ścian tych. Wieczorem odzywałby się fortepian, jabym słu-

— Wnuczeta, — odezwała się z uśmiechem Sochacka.

— Chodźcie tu, smyki, — krzyknął pan January.

Ale urwisy zniknęli, jak kamfora, jeden za kufier, a drugi za piec się schował.

— Subordynacyi żadnej nie znają! Okrutnie ich rozpuscita Basieczka, okrutnie rozpuscita, — mówił Sochacki.

— To ty, ale nie ja, — sprzeciwiła się żona.

— Gadaj zdrowa, gadaj zdrowa!

— Ale, bo to ty na wszystko im pozwalasz.

— A ty nie?

— Ja—trochę...

— No i ja trochę, — rzekł Sochacki, — a z tego robi się rozpusta.

— Ale, bo to, proszę pana, — zwróciła się Sochacka do Hipolita, — Stasiek ma dopiero cztery lata.

— A Władek trzy, — rzekł pan January.

— I do tego sieroty, — dodała pani Sochacka, — więc jakże to...

— No, właśnie, jakże to, — szepnął Sochacki.

— Najstarsze z nich jest już na swoim chlebie.

Otarła łzy, co też i pan Sochacki uczynił.

Dzieciaki zaczęły w kątkach, jak żaby skrzeczeć.

— Cicho, smyki, bo pocałować siebie nie pozwolę! — pogroził stary.

Zakwililo jedno, odezwało się drugie i — „beee“ dało się słyszeć.

Pan Hipolit przestąpił próg, Staśka z za kufra, Władka z za pieca wydobył, wziął na ręce oboje i, całując zapłakane oczęta, pocieszać zaczął:

— Cisio, dziadzio żartuje—cisio... Ot, zobaczycie, jak zaraz ścisnąć was będzie.

— Dobry pan, — odezwał się Stasiek.

Objął pana Hipolita małutką rączyną za szyję pocałował mocno, Władysław uczynił to samo, dał tylko:

— Baldzo dobry pan!

— No, moi państwo, — rzekł rozrzuwiony Hipolit. — teraz i ja z wami psuć je będę!

— Did! Did! — zaczęły wołać dzieciaki, podskakując na rękach Grudowskiego, który uradowanych malców w dziadkowi na kolana złożył.

Nagle wzrok jego padł na fortepian, stojący w kącie.

— Kto u państwa grywa? — zapytał.

— Ja trochę i Basieczka trochę, — odezwał się Sochacki. — Stary grat, ale dobry jeszcze, pamiatka... po synu, po synu. Nic—tylko to — i to (wskazał na dzieci) po nim zostało.

Pan Hipolit z dziwnym uczuciem w sercu wyszedł od Sochackich. Rozrzuwiło go pożyście tych staruszków, rozmarzyły pocałunki dziecięce. I znowu mignęła przed oczyma postać panny Matyldy, odrobinę wyraźniej, niż przedtem.

Został u siebie oczekującego, jak zwykle Czubińskiego.

— Co tam słyhać? — zapytał.

— Był ja, proszę pana, u Ziemaną.

— I jak z domem?

— Spuścił sto.

— Ja dodam sto, ma osiemset, więcej ani grosza!

(Dalszy ciąg nastąpi).

Korespondencja z prowincyi.

Z nad Neru. W Marcu.

Opóźniłam się z wypełnieniem danego przyrzeczenia, ale szukałam jakiegokolwiek najwłaściwszej choćby nitki Aryadny—którą schwyciwszy, już można ciąg dalszy snuć z łatwością. Tymczasem cich i pusto, a wiadomo, że pustka, to najzdradliwszy z labiryntów.

Zabaw w karnawale nie było—bo domy prawie wszystkie z małżeństw mniej więcej mło-

dych złożone, więc dzieci albo uczące się—albo małe. Tak, że wróciwszy do domu po długim pobycie w Warszawie, zastałam już tylko milknące echo trąbek myśliwskich, ten sport bowiem kwitnie w okolicy—pomimo, że lasów już mało i tylko zające zimą, a kuropatwy jesienią, dają pole do popisów, naszym Nemrodom.

Po za tem nawet „niedziele“ sąsiedzkie, które już lat parę, utrzymywały się z powodzeniem, co tydzień w innym domu gromadząc towarzysztwa, były w rozprzężeniu gdyż ciągle kogoś brakowało, co w nielicznym kółku znaczną stanowili szczerbę.

Okolica nasza bowiem ma ramy bardzo zacienione, skutkiem muru chińskiego jakim ją Ner przedzielił, do tego stopnia, że mieszkańcy prawego brzegu nietylko się nie znają z mieszkańcami lewego—ale nawet prawie o sobie nie słyszą.

Ner bowiem choć mała rzeczka i dziś już osuszona wspólnymi siłami nie tworzy bagien, które ongi, pińskie, przypominać mogły;—ale za to, pozostała kapryśną swawolnicą, która wiosną i jesienią wylewa niemal corocznie—nie pozwalając na utworzenie jakiejś stałej komunikacji.

Skutkiem tego, sąsiedztwo nasze nieliczne, bo z 7-iu domów, bliżej z sobą żyjących złożone—ma cechę dodatnią małych a częstych zebrań; wszyscy się znają doskonale a ztąd stosunek nie ceremonjalny, a zażyły i całkiem swobodny. Dodać należy ważny czynnik: mniej więcej jednakże warunki materyalne—i równość poziomu—albo kto woli—wyżyn umysłowych. Ztąd i zawsze gotowy temat do rozmowy i wspólność gustów i zamiłowań, których głównym punktem czystości—jest pedagogja żywo interesująca wszystkie matki—oraz ogrodnictwo—ulubione pań zajęcie, dzięki czemu okolica nasza posiada już kilka ogrodów odznaczających się gustem urządzenia i porządkiem utrzymania. Co prawda, mowa to tylko o stronie estetycznej, gdyż praktyczna w koniecznym jest zaniedbanii z przyczyny braku zbytu na ogrodowizny i owoce—wydzierżawianie zaś ogrodów na lato, jest wielce nieprzyjemne ze względu na amatorów handlarzy, którzy z liczną progeniturą stanowią wielce niemiłe a nazbyt bliskie sąsiedztwo dla dworów. Jest wprawdzie niedaleko Łęczycą, ale tę, zasilają dostawy włociańskie, którzy w ten sposób doskonale swe ziemie, użytkowują bardzo korzystnie; oraz najbliższe dwory, których tu nie brak; nasze zaś kółko jest najmniej o 10 wiorst bardzo złej drogi oddalone od miasta. Łódź znowu nazbyt daleko... choć bez kwestyi, są to wymówki skutkiem braku większych zamiłowań na tym polu—jedna bowiem z pań, starsza a wzorowa gospodyni wszystkie większe produkty odstawia do miasta bawelnianego znaczne tą drogą czerpiąc dochody.

Życie towarzyskie głównie koncentrują wspomniane już „niedzielki“ panów gromadząc przy wintowym stoliku, my zaś gawędzimy—zwykle z ożywieniem, bo tematu niewyczerpanego dostarczają nasze małe pociechy i książki, których nam nie brakuje. Choć jeśli się rok rocznie kupuje pewną ilość „nowości“ to mimo woli wyrzuca się westchnienie: „Jak dużo trzeba przeczytać, aby mało skorzystać, a rzadko znaleźć prawdziwą przyjemność!“

Stanowczo za dużo ludzie piszą *li dla pisania*, bez głębszej, poważniejszej myśli, albo gruntownej znajomości przedmiotu! Książek pedagogicznych dziesiątki—w tem o realnej, prawdziwej wartości jakże niewiele! Co do mnie, to wszystkie spotkane oddałabym za jedną małą książeczkę—Herberta Spencera: „O wychowaniu moralnem, fizycznym i umysłowym“—tak znakomitej, że nie posiada żadnego chyba zdania, któreby bezkarnie można było wykreślić, a natomiast weale, ale to weale—gadulstwa!

Ta nieszczęsna mania gadania, to najgroźniejszy wróg dzieł *specyjalnych*, bo zamiast objaśniać nadmiarem słów, przyćmiewa tlejące gdzieś głęboko światelko! Czyż nie większy przynosi pożytek mała książka, ale jasna i treściwa, niż te tomy sążniste, w których zdrowe ziarno ginie w stosach plew frazeologicznych?

Wysłałam, zdaje się zupełnie, z zakresłonego mi pola, ale temat żywotny, który niejednokrotnie w kółku się naszym odzywał—i tu wplątał się jak echo dalekie ze stron moich.

Jako o fenomenie niepamiętnym chyba, wspomnę na zakończenie o bukietkach fiołków, które co dni parę w ogrodzie się znajdują, przeczuwają chyba stałą już wiosnę, wychylają się z ziemi, witane przez nas tem żywym uczuciem radości jakim nas przepelnia przyroda, zawsze nowa dla człowieka, bo budząca w nim coraz nowe uczucia i myśli. Tym bukietkiem fiołków żegnam was, czytelniczki „Bluszczu“ i—do widzenia.

P. Zieleniewska.

PAMIĘTNIKI

Adaminy z Bielskich Moszczeńskiej.

(Dalszy ciąg).

XXXII.

Zabawy w Kaliszu.

Kalisz, ożywiony ciągłym pobycem rodziny urzędników branych z pomiędzy znakomych obywateli, przyjezdnych ze wsi, ich przyjaciółmi, miał chwile wielkich zjazdów, jako to: na świętojańskie tranzakcje, karnawał, bawienie jakiej trupy znakomych aktorów, i na święty Józef, jako dzień odpustu dyecezyjalnego; ale też miał i czasy opustoszenia, a nadewszystko gdy nastąpiła pora wód.

W takiej właśnie to chwili siedziałam osamotniona, gdy afisze oznajmiły miastu przybycie trupy, okazującej sztuki gimnastyczne. Obwieśzczenie dość zachęcające zwabiło publiczność znużoną jednostajnością (1810). A więc ujrzały się w obec lin rozciągniętych i innych aparatów w sali Olszewskiego honoracje kaliskie. Sposstrzegłszy, że wykonane sztuki nie odpowiadały szumnemu zapowiedzeniu, patrzyli z podziwieniem na siebie, po co tu się zebraли? Cel tem samem został osiągnięty, bo cóż może być więcej towarzyskiego, jak myśl tak wielu różnorodnych usposobień, jacyemi publiczność miasta ożywioną bywa, skupiona w jeden choćby najnieznaczniejszy przedmiot. Ztąd wypływa pogadanka, przechodząca od widowiska na widowisko—z poważnego poglądu na zabawną rzeczy stronę—a tak: jeden biedny histryon wprowadzi masę ludzi oświecenijszych w ruch umysłowy, uspiiony jednostajnem tętnem. Takie jest życie miast pomniejszych.

Umieszczona byłam na ławce blisko węgla sali, w której się odbywały sztuki gimnastyczne, nie mające żadnego dla mnie uroku. W równej odległości kąta zajął miejsce nieznany mężczyzna; siedział więc wprost przeciw mnie, ale zupełnie był mi nieznajomy. Ilekroć podniosłam oczy, widziałam wzrok jego we mnie wymierzony; nie śmiałam patrzeć w tę stronę, obróciłam oczy na skoczków—podobno żydków w stroju hiszpańskim, powtarzających z niejaką fanfaronadą swoje *salto mortale*. Nieznajomy miał wzrost wysoki, postać pełną, okrągłą, twarz regularną, pleć, którejby się dama nie powstydziała, kolory czerstwe, czoło wyniosłe; pojętność z oczu jego ciemnych wypatrywała, a powagą odznaczała się cała jego postawa. Nie mogłam być obojętną, a spodziewałam się bliższego zaznajomienia.

Wychodząc po przedstawieniu, nieznajomy zbliżył się do mego ojca, zaczepia go rozmową i podaje mu rękę ze wschodów na ulicę—odprowadza przed dom, ciągle rozmawiając. Będąc w domu, zapytałam ojca, kto to? „Jest to nowo przybyły radzca prefektury; „Jest to nowo przybyły radzca prefektury; i nazywa się Z.“ była odpowiedź krótka ojca mego. Nazwisko weale nieznane, nie było

rekomendacją dla ówczesnej arystokracji. Macocha wrzuciła prawem ramieniem, pociągała nosa. Ja myślałam: on wart znakomitszego imienia.

Pan Ż. przedstawił się nazajutrz w domu rodziców moich, odpowiadał godnie umysłowi niepospolitemu ojca mego w poważnej, męskiej rozmowie, prowadził lekką pogadankę z wykształceniem salonowym, ozdobionem całym zapasem piękna literatury, o której najczęściej toczyły się nasze pogadanki. Tkliwe zastosowania, wesole żarciki, głęboka rozważa... wszystko naprzemian krasilo jego wymowę: były to chwile niebezpieczne dla serca mojego.

Ojciec musiał to zmiarkować. Jednego dnia, przy końcu obiadu, — byliśmy w ścisłym kółku rodzinnym — padło w rozmowie nazwisko pana Ż. Po krótkim przestanku i niejakim zamysleniu ojciec mój podniósł upadłą rozmowę:

— Jest to szkoda tylu zdolności, talentu i tej pięknej postaci tego Ż. Ja go sam niewypowiedzianie lubię, ale bieg życia jego nie wzbudza żadnego zaufania.

— I któż on jest właściwie? — zapytała macocha moja.

— Jest on synem adoptowanym ministra Potockiego. Wychowany kosztem jego u pastora ewangelickiego, człowieka bardzo światłego, pod imieniem krewnego, nadano mu nazwisko tegoż opiekuna. Ukończył szkołę, przeszedł akademię, otrzymał 100,000 zł. wyposażenia i zasiłek pieniężny na odbycie podróży za granicę. W tej wycieczce przybywa do Hamburga, wpada w towarzystwo graczy i traci cały swój majątek. Nie była mu gra nowością: ucieka się do sztuk graczom właściwych — jest odkrytym, ściganym. Po niejakim czasie dowiaduje się Potocki o losie dziecka, wykupuje go i nieco później daje mu już nie kapitały, ale urządowanie, które tu właśnie objął.

Jakbym z obłoków spadła. Po tem opowiadaniu ojca mego już żadnego nie miałam złudzenia. Pan Ż. nie przestawał bywać. Pomimo mej szczerej usilności, aby mu nie okazywać zmiany w mem postępowaniu, miał za wiele bystrości, aby nie pojął, że nadaremnie do serca mego przemawia. Za wiele przecież zażywał upodobania do mego towarzystwa, aby go sobie odmówić, i pozostał między nami stosunek miłej znajomości. Natenczas poznałam cały jego dowcip i kaustyczność. Mało ceniąc towarzystwa, w których go los umieścił, przy każdej sposobności powiększał swą tekę nowym wierszykiem, doskonale wyobrazowanym i skreślonym. Wszystkie dzieła te zostawały mi przedłożone... ja szukałam, czyli gdzie głębiej nie znajdę ustępu, w którymby figurowała postać moja; zapewniał mnie, że to nie mogłoby mieć miejsca, chyba w rodzaju pism, do jakich on nie używa pióra swego.

Wyjechaliśmy na wieś. Tam doszła mnie wiadomość, że pan Ż. stara się o bogatą sierotę, bawiącą w domu państwa G. w Kamieńcu. Panna Cecylia B. przystojna, ale nie piękna, złośliwa bez dowcipu, zarozumiała bez zdolności, zdawała mi się osobą smutnej konieczności dla człowieka tak bystrego, jakim znałam jej pretendenta. Stąranie o jej rękę — dogodzenie kaprysom kobiety dumnej i wymagającej, tyle go kosztowało zabiegów, że czas jej poświęcony z ujmą obowiązków jego powołania, zmusił ministra zagrozić mu dymisją: ta groźba oddziaływała na humor narzeczonej. Odmówiła stanowczo w chwili, gdy Ż. otrzymał dymisję. Odpowiedź ta oddziaływała tak silnie na umysł nieszczęśliwego Ż., że uległ obłąkaniu zmysłów, a nazajutrz, po zupełnem zdeklarowaniu się choroby umysłowej, nadeszło niestety zapóźno przywrócenie do urzędu. Jego przeznaczenie tak mieć chciało; wcześniejsza ekspedycja uratowałaby ten niepospolity umysł, a zarazem uleczyłaby od złudzeń świata. Wywieziono go do Bo-

nifratrów. Dwa lata później, będąc wyleczonym, przez wdzięczność dla braci tego zakonu — sam uczynił śluby i pozostał w ich zgromadzeniu.

XXXIII.

W O s i e k u.

Przebywaliśmy w Osieku, dobrach ojca mego, położonych w okolicach Koła. Wszystko tam teńnęło starożytną prostotą polskich obyczajów. Dwór staroświecki, drewniany, obszerny, z wysokim zrębem, z gankiem wystającym, w którym umieszczone ławki pod zasłoną bocznych ścian, dwoma wążkami okienkami dopuszczały światło. Kiedy drzwi na dwór otwarte przyjmowały przewiew powietrza i otwierały przystęp sługom i poddanym do pana, chłodzącego się w miłym towarzystwie rodziny i gości. Zarzucona już i pusta kapliczka, jako narożnik dworu, lamus bez okien, na sklepach o kilka kroków od mieszkania w cieniu drzew stojący, wysokie grabowe szpalery od zachodu i północy osłaniające sad, obszerna lipowa altana w środku ogrodu, a oficyna, przez którą prowadziła brama wjeżdżna w dziedziniec. Ogromny staw w pośrodku wsi, otoczony dwunastu apostołami, każdy na kilka wschodów wyniesiony, umieszczony w kapliczce dość podobnej do strażnicy wiejskiej, a nade wszystko wielki rozłożysty kasztan, otoczony kanapką z murawy tuż pod oknami sypialnej komnaty, nadawały jakiś smętny urok temu siedlisku, zachowanemu w pierwotnej prostocie. Tam odwiedził ojca mego, z zapowiedzianym pobytem na cały czas feryj — wojewoda Wybicki. Dobra jego małżonki w województwie poznańskim skonfiskowane przez rząd pruski. On sam uchodzić musiał za granicę z dwoma synami w wieku dzieciennym będącymi. Z nimi odbył pieszą podróż po całej Europie, będąc zarazem nauczycielem i kamerdynerem dzieci swoich; nadto używał chwil wolnych do piśmiennictwa. Rzewne były opowiadania tego oglądłego i znakomitego starca (miał lat przeszło 70). Ż jaką obawą zapytywał mnie często, czyli się nie powtarza, bo to — mówił — wada ludzi mojego wieku, której się mocno strzegę, aby nie znudzić młodych moich towarzyszy. Długie nasze przechadzki krasil ciąglą urozmaiconą rozmową.

Dziś jako senator, zachowując wszystkie dawne swoje wpływy, poznał ojca mego. Zdziwiony obszernymi jego wiadomościami i olbrzymimi pomysłami; pragnął go widzieć u steru rządu. „Dla czegoż to — mawiał — tak wielkie talenty ukrywać było w cieniu, kiedy mierność występowała naprzód, aby chwycić posady i osiągnąć władzę? — tak pozostać nie może!”

Pracował usilnie nad nakłonieniem ojca mego do przyjęcia jakiegokolwiek posady dla postępowania szybkim krokiem do ministerstwa, które mu przy pierwszym zapewniał wakansie. Kosztowało wielce ojca mego, mającego już pewne swoje stanowisko i opinię w świecie, porzucić swobody, jakie mu dostatni byt ofiarował, i uczynić się zawisłym od przyjętych obowiązków; przecież Wybicki wymógł na nim, że przyjął urząd sędziego kryminalnego w Warszawie.

Wybieraliśmy się do Warszawy, gdzie miałam poznać ludzi i świat w najwyższych jego blaskach i w najrozmaitszych odcieniach.

Zapisane było w księdze przeznaczeń ludzkich, że nie miałam zamieszkiwać stolicy. Kiedy z wielkiem utrudzeniem mej macochy, a skrzętnem staraniem mojem, dziesięć kufrów upakowanych stało na paradnej sali w Marszewie, reszta tego przybytku przepychu i zabaw zarzucona tłumokami i pakami rozmaitych kształtów oswobodzoną być miała nazajutrz naszym wyjazdem do Warszawy, wszczynają się pożar we wsi, ogarnia jej większą połowę i szybkim pędem zbliża się ku pałacowi. Oprócz pokojowca 12-letniego i mnie, słabej istoty, nie pozostał nikt w domu; wszyscy pobiegli do pogorzelnika. Widząc grożące niebezpieczeństwo, oddaję świecę palącą Fryckowi, sama wyciągam 10 ciężko upakowanych kufrów przez 5 pokoi i zsuwam je po schodkach w przyległe podwórko. Zaledwie tę

wykonałam pracę, aliści wpada ojciec mój do swego gabinetu, przywołuje mnie, oddaje spory pakiet papierów doniosłego znaczenia i do innego pokoju odnosić każe. Z młodocianym pośpiechem udałam się na przeznaczone miejsce, usiadłam na szkatule, piastowałam papiery... ale przy spoczynku dopiero wysilenie czyli też wzburzenie doznane działać zaczęło; doznałam ścisnienia serca i została bez przytomności. Ogień już przygasał, a mnie ratować musiano.

O dni kilka odwlekl się wyjazd nasz. Już zwiedziliśmy dobra Krzymowskie i Osieckie; wszędzie ojciec poczynił rozporządzenia na czas długi. Mama prowianty zabierać kazała, a ja żegnałam miłe zakątki domowe, budując zamki na lodzie. Już ruszyliśmy dwoma powozami, bryką ładowną i trzema wozami. Już przenocowaliśmy w Kłodawie i zbliżaliśmy się do Kutna, kiedy posłaniec pędzący konno dojeżdża powozu i podaje papiery w długiej, opieczetowanej kopercie.

— A co tam słyhać? — z przerażeniem zapytał ojciec.

— Nic nowego, panie — odpowiedział wieśniak i jechał wolno w bliskości powozu.

Ojciec przejrzał papiery, zabrał w piastkę, jak to miał zwyczaj czynić, kiedy będąc mocno zakłopotany, ukryć chciał swoje pomieszenie. Było to w istocie sygnałem do odwrotu, bo po skończonym popasie, nawróciliśmy z całym taborem i nie oparli się aż w Osieku.

Przebywaliśmy znaczną część lat w Osieku. Do tej majątności należała druga Dęba z kościołem, oprócz kilku innych mniejszych posiadłości. Rozkwaterowano wojsko w okolicy: w każdej z tych wiosek stał oficer we dworze. Kapitan Łaszewski, zbliżywszy się do wieku średniego, był człowiekiem przystojnym, porządnym, ale zupełnie powszednim. Nie posiadał talentów, nie zajmował się literaturą, był towarzyszem bez wytworności, ale nie rubaszny, ani hulaszczy; żadnego wyższego nie objawiał zdania. Krótkie opowiadania, przytoczone anegdotki, pozbierane na drodze życia, stanowiły treść częściej dosyć rozmowy. Po zaznajomieniu z naszą rodziną, opisywał swego pomocnika, Karola Hermana, jako człowieka próznego i zarozumiałego, któremu zdaje się, że dosyć go widzieć, aby go każda kobieta pokochała.

Dopóki nie poznałam Hermana, zdawało mi się, że Łaszewskim zazdrość powoduje, ile że widocznie zajął się pasierbicą mego ojca, młodą i bardzo powabną wdową, panią Puchalską. Przecież byłam ciekawą poznać człowieka, którego nam tak nielitościwie przedstawiono, aby go ocenić własnym przekonaniem; a gdyby wizerunek przez kapitana skreślony trafnym się okazał, to miałam wielką chęć przekonania go, że nawet z powziętą dla niej miłością jest kobieta gardząca zarozumiałym młodzieńcem. Trudność zadania tego przedstawiło mi lustro, wróg mój niepokonany. Ale czegoż silna nie dokaże wola!...

Nadchodziła niedziela; wybieraliśmy się do kościoła. Tam miałam widzieć osobę, której wyrazić psotę od dni kilku było jedyną myślą moją, żadna rachuba kokieterii, ani sentymentalności nie mięszała się do tego planu. Tylko uznałam potrzebę większej staranności w przyborze, bezprzesadnym, ale zastosowanym do mej postaci, miejsca i okoliczności; ta miała zwrócić uwagę i dać wyobrażenie o mej osobistości. Udało mi się nad wszelkie spodziewanie; od pierwszej chwili robiłam na nim wrażenie. Na figurze miernego jego wzrostu osadzona była głowa z sówią zupełnie twarzyczką.

Dla tem zupełnie złudzenia, pan Herman nosił włosy swe gęste na półtora cala zestrzyżone i tak w górę około czoła podczesane, że tworzyły wieniec regularny, ku czołu zwinięty, nachylony, jak też ptaki tego rodzaju piórka mają ułożone. Szczególniejszy to był gust i pomysł, a twarz bezkolorowa na mumię i oliwkę zakrawająca, włosy ciemno blond, oczy okrągłe, nos cienki, zgarbiony, ku wierzchniej wardze pochylony, tak były iluzyjne, że nie można było uniknąć dziwnego tego porównania. Ptak ten, poświęcony bogini mądrości, służący za godło naukom, nie mógł tu mieć zastosowania, był

tylko złowrogim ptakiem ciemności — ale wpadł w sidła — i z żalem uleciał.

Pan Karol Herman, Warszawianin, podobno syn znakomitego kupca, zapewne wstąpił w szeregi wojskowe, aby się ustroić w upodobany uniform i uniknąć łokciowania i ksiąg rachunków handlowych. Żadna nim wzniosła myśl, żadne wyższe uczucie powodować nie mogło. A przecież miał pretensję podobania się kobietom znakomitszym. Prawda, że ówczesne upodobania najczęściej na powierzchownej opierały się piękności i on miał upodobanie w powierzchowności swojej, więc podług siebie o płci pięknej sądził; ale nie dosyć już damom natenczas było patrzeć na pięknego bohatera — żądały, aby on utrzymał konwersację, aby przygody wojskowe, charakterystykę rozmaitych narodów, widowska lub obrazy rodzinne, w których przebywał, zręcznie opowiadał, dowcipne przytoczenia lekko rzucał, chociażby mu obcemi były nauki, obszerniejsze wiadomości, albo piękna literatura w ogadywanych przedmiotach. Nadto żądano znakomitości rodu, jako prawa do wystąpienia w wyższych kołach towarzyskich.

Herman był młody, przeszłość niewiele mu starczyła. Wydarzenia kantoru kupieckiego poniżały dumę jego i dyskredytowały we własnym rozumieniu, przeto rozmowa była oschła, drobnymi nastroszona komplementami i zachowaniami cudzemi conceptami. Chciał niedostatek ten wynadgradzić sentymentalnością i tem śmieszniejszym przedstawiał się. Ale grzeczność moja, wsparta przyzwoitą powagą, nie dozwalała mu zbyt jasno z uczuć jego się tłómaczyć i dla tego zdołałam utrzymać do końca rolę moją.

Jednego dnia siedzieliśmy u wieczerzy, gdy wręczając kapitanowi jakiś rozkaz wojskowy; od czytawszy go z miną niezmienną, oddaje porucznikowi... temu ręka drżeć poczyna, blednie; nie mówiąc ani słowa, upuszcza papier. Pauza zrobiła się krytyczna, wszyscy na niego zwrócili baczną uwagę, zdawało się, jakby tam wyrok jaki na osobę jego był wydany.

— Cóż to jest, jeżeli wolno wiedzieć? — zapytała macocha moja.

— Rozkaz wymarszu — odpowiedział krótko Łaszewski, któremu też niebardzo było obojętnie zmienić stanowisko... Ale Herman blednie i chwielej wychodzi na przeciwną stronę domu. Tam była sala, gdzie zwykle przebywała służba domowa, a że dom lubo obszerny mało miał pokoi, więc na noc kwatery oficerska. Po małej chwili wchodzi strzelec i szepece coś do ucha pani domu.

— Kolońskiej wody — zawołała i posłała pannę służącą z starym Dąbrowskim. Panna wróciła i rzekła:

— Dotrzeźwić się nie mogę.

Powstałszy od stołu. Ojciec wszedł za mną do sypialnego pokoju z miną pół-figlarną, pół-serjo mówi:

— Idź sama otrzeźwić Hermana, to najlepiej poskutkuje.

— Mój ojciec — zawołałam tonem podziwienia i wyrzutu.

— Ja nie żartuję — krzywiąc do śmiechu usta, odparł ojciec mój — tu innej nie masz rady, musisz się do tego nakłonić i nie okazuj mu w tej chwili niechęci.

Wzięłam pannę służącą za rękę i z flaszką wody kolońskiej i octem udałam się na salę, gdzie ludzie i służące omdlałego na rękę trzymali. Czy to było zupełne omdlenie — nie umiałam sobie wytłómaczyć; bladeść, cierpienie widocznymi były, ale zaledwie wyrzekłam kilka słów i otarłam czoło temi kordyałami, otworzył oczy, przemówił i czule mi ręce z wdzięczności całował. Przy pożegnaniu pozory były dobrze zachowane. Ruszono w pochód nazajutrz tak rano, że wszyscy jecheszmy spoczywali. Spodziewałam się, że to już skończone; tryumf mój był kompletny, a przecież bolesny dla mnie. Postanowiłam odtąd nie powtarzać takiej próby i we własnym przekonaniu czułam poniżony mój charakter.

Już zapominałam o tem wydarzeniu, kiedy mundur oficera konno przybyłego zablysł w oknie bawialnego pokoju, gdzie dość licznie

zebrani za małą chwilę ujrzelśmy wchodzącego Hermana. Zmieszana byłam, ale nie czułością; oburzyłam się tem ściganiem, którego przecież powodem byłam. Słuszną karą za moje przewinienie — pomyślałam. Cóż to z tego będzie? Otóż gość, zabawiwszy 24 godzin przepędzonych na wzdychaniu i projektach niepodzielanych, które zbywałam lekceważeniem i nieufnością, odbiera od władzy wojskowej rozkaz do powrotu z aresztem na dni ośm, ponieważ bez pozwolenia oddalił się. Herman wkrótce potem wziął dymisję, długo jeszcze łokciował materje w składzie ojcowskim, zaczem się własnego doczekał a jeżeli jeszcze żyje, to musi być nieznośnym marudą i despota domowym, bo próżny mężczyzna jest najnieznośniejszą plagą dla wszystkiego tego co go otacza.

Próżność kobiety bywa skutkiem chęci podobania się, a gdy już osiągnie ten cel, zostanie mężatką i matką, to najczęściej przenosi na ukochane przedmioty skłonność tę, która jej służyła do podniesienia własnych wdzięków, pragnie uświetnić byt domu i dzieci, a dla tego zachowując przyzwoitość w przedstawieniu siebie, staje się miłą i uprzejmą równie dla domowych jak i dla obcych osób.

Próżność mężczyzny objawia się egoizmem w domu, — wszystko jemu tylko na usługi, — on sam tylko pan. Każde uczucie tkliwsze wysycha w duszy jego, a jeżeli czasem powstanie pragnienie w umyśle próżnego despoty, żeby członkowie rodziny, żona, dzieci uświetniły jego otoczenie, to rozwiniętemi darami natury to przybozem z nabytych kosztowności, zaraz obok powstaje w głębi niespokojność, żeby te przymioty osób otaczających nie przyćmiły jego blasku osobistego, żeby wydatki czynione dla przyzdobienia onych nie ujęły środków uwydatnienia własnej osoby. Próżność na zewnątrz czyni mężczyznę imponującym samochwałem, przesadnym opowiadaczem własnych czynów, bytu i mienia, pogardzającym wszystkimi równymi, przyjmującym pochlebstwa podłych pasożytów, a czepiającym się ludzi wyższej sfery, którzy nawzajem nim pogardzają. Próżny nigdy nie starzeje, w najpodeszlejszym jeszcze wieku rywalizuje on z młodymi, a to jest dopiero śmieszność na szczycie swego szaleństwa, bo czyni starca pośmiewiskiem tych, którzyby jemu cześć powinni wyświadczać, albo współczuciem osładzać zachód życia.

Nie przeczę, że próżność i kobiecie nie przystoi, jeżeli ją łączy z zalotnością lub lekkomyślnością, ale kobieta wadę tę wyzyskać może na upiększenie wszystkiego tego, co jej osobę bliżej lub dalej otacza, jeżeli dobrym smakiem umiała wszystko co wchodzi w obręb jej zawodu, jeżeli posuwając się w lata, zdoła z wszelką powagą i przyzwoitością odwrócić od siebie wstręt, jaki wzbudza rozprężenie sił życiowych, jeżeli ciągle baczy na czystość i kształty otoczenia swego, na rodzaj zabaw i rozmowy. Mężczyzna tylko rozumem, pobbazaniem i powagą rolę starca krasić może. Oboje dobroczynnością i ludzkością przywiązać zdołają.

(Dokończenie nastąpi).

Alaska i poszukiwacze złota.

I.

Od niejakiego czasu gazety amerykańskie przepełnione są zdumiewającymi, zakrawającymi raczej na fantazję szczegółami o krainie do niedawna mało znanej i odznaczającej się na mapach jeograficznych jedynie ogromem swego obszaru. Krainą tą jest Alaska.

Wieści, dochodzące do nas z tej odległej krainy, podniecają wyobraźnię opisami kryjących się w niej skarbów nieprzebranych i jednocześnie

scen, pełnych grozy. Słyszymy o górach złota i o wypadkach okropnej śmierci w otchłaniach lodowych, o milionerach, stojących w obliczu śmierci z zimną i głodu, o 3000 nieszczęśliwych, żywcem zamurowanych wśród lawin śnieżnych w Dawson-City, pozbawionych najniezbędniejszych potrzeb, w tej chwili może pożerających się wzajemnie, podczas gdy skarby, przez nich zdobyte, starczyłyby dla każdego na kupno wspaniałego pałacu w Paryżu.

W chwili, gdy kopacze zdecydowani na spędzenie zimy w zabójczym klimacie na martwej, jałowej glebie giną bez ratunku — jednocześnie w Anglii i w Ameryce organizują się liczne wyprawy po złote runo, mające wyruszyć z nadzieją wiosny. Awanturnicy z całego świata, wszyscy odważni zapaleńcy, których marzeniem szybkie wzbogacenie się, użycie nie kosztem cichej, wytrwałej pracy, lecz raptownego acz krótkiego wysiłku — oto żywiły, z jakich się rekrutują szeregi kandydatów na zamieszkanie brzegów złotodajnego strumienia Klondyke.

I oto kapitaliści angielscy i amerykańscy rozdzielają już między sobą najbogatsze „claims,” najwydatniejsze działki. Już i giełdy w Londynie i New-Yorku z zapalem popierają awanturnicze wyprawy; potworzyły się już akcyjne towarzystwa na wielką skalę, rozporządzające olbrzymimi kapitałami; zamianowano już urzędników, mających dozorować eksploatację tych posiadłości o przestrzeniach i granicach fikcyjnie określonych i to dopiero na papierze, egzystujących, być może, jedynie w wyobraźni tych, co niemi handlują, i dokąd wybrać się będzie można dopiero z nastaniem pogodnej, ciepłej wiosny

II.

Alaska — jest to wielki półwysep Ameryki północnej, przedzielony od Azji cieśniną Behringa, który, przypuszczać należy, w zamierzonej przeszłości stanowił niejako olbrzymi most, łączący nowy świat ze starym. Krainę tę o obszarze trzy razy większym od Francji, oblewają trzy morza: ocean Lodowaty, morze Behringa i ocean Spokojny. Lądowa granica jest wysoce problematyczna. Ponieważ dawniej nie przywiązywano żadnej wagi do tych jałowych przestrzeni, przeto granicę między Alaską a Kanadą przeprowadzono niemal na chybił trafił. Od fortu Simpsona do góry św. Eliasza ciągną się terytorya alaskie wązkim pasem nad brzegiem oceanu na przestrzeni około 20,000 mil angielskich, omijając łańcuchy gór; następnie zaś, poruszając od góry św. Eliasza, granica odcina półwysep od lądu linią zupełnie prostą, przeprowadzoną pod 143° 20' dł. wsch. Dziwnym zrządzeniem losu, najbogatsze pokłady cennego kruszcza zesrodzkowane są akurat na samej linii granicznej, dzięki czemu zarówno Kanada, jak i Stany Zjednoczone czerpać mogą złoto z tego skarbcza.

Alaskę odkrył w r. 1741 słynny podróżnik Behring, który wylądował na brzegu oceanu Spokojnego wprost góry św. Eliasza. Następnie w r. 1778 wylądował tam Cook, i na mapach, wydanych przez tego śmiałego żeglarza, kraina ta figuruje pod nazwą *Al-my-ek-sa*, co w języku Eskimosów znaczy „wielki kraj.” Potem La Pérouse, Prybyłow, John, Meares, Malespina, Stefan Marchand i Vancouver kolejno zwiedzali wybrzeża tej krainy lodów. Za przykładem znakomitych podróżników, zwiedziły i przetrzasnęły całe terytoryum Alaski kompanie myśliwych polujących na futra; w roku zaś 1799, na mocy Ukazu Cesarza Pawła I-go powstało „Cesarzskie rusko-amerykańskie towarzystwo dla eksploataowania bogactw Alaski.” Towarzystwo to egzystowało do r. 1826, lecz korzystało w całej pełni ze swego przywileju jeszcze po upływie terminu swego monopolu.

W r. 1866 pełnił funkcje gubernatora Alaski z ramienia rządu rosyjskiego hr. Maktuzow. Pomimo swej nieograniczonej władzy, hrabia nudził się w stolicy Sitce, składającej się z setki drewnianych domostw. To też z niekłamanym zadowoleniem przyjął on propozycję, z jaką wystąpiło pewne towarzystwo z San Francisco,

pragnące odkupić całą Alaskę i posługiwać się nią jako olbrzymią lodownią, przeznaczoną na potrzeby Kalifornii.

Hrabia Maktuzow, ożywiony nadzieją rychłego powrotu do ojczyzny, gorąco poparł ten projekt przed Cesarzem Aleksandrem III i uzyskał Najwyższą sankcję. Układy osiągnęły wynik pomyślny i 10 Października 1867 r. sekretarz stanu unii William Seward, jako przedstawiciel swego rządu, podpisał akt, na mocy którego Alaska przeszła na własność Stanów Zjednoczonych Ameryki północnej za sumę 7.200.000 dolarów (38 milionów franków).

Parlament amerykański uchwalił tę transakcję przeważnie ze względu na projektowane połączenie Stanów Zjednoczonych z Europą linią telegraficzną przez Alaskę i Syberję. Przeprowadzenie atoli drutu podmorskiego przez ocean Atlantycki obaliło ten projekt, w następstwie czego kupno Alaski dostarczyło całej Ameryce niewyczerpany temat do żartów. Humoryści i karykaturzyści drwili nielitościwie z tego kosztownego a napozór całkiem bezużytecznego nabytku. Jeden z nich np. proponował kupno księżycy, dowodząc, że Stany mogłyby więcej korzyści zeń wyciągnąć, niż z Alaski. Proponowano najróżnorodniejsze, dziwaczne nazwy dla nowego kraju. Naśmiewano się również dosyć z ceremonii objęcia w posiadanie przez Unię nowej prowincji, gdy generał Jefferson Davis na czele „olbrzymiej armii,“ złożonej z 250 żołnierzy i „eskadry,“ złożonej z 5 statków, „bez rozlewu krwi“ zawładnął Alaską.

Przedwczesne to były żarty. Stany Zjednoczone bezwiednie zrobiły na tem kupnie świetny interes. Terytorium, nabyte przez nie za 38 milionów, przedstawia dziś wartość przeszło miliarda!

III.

Pokłady złote stanowią niezaprzeczenie główne bogactwo Alaski, lecz bynajmniej nie jedyne. Prócz skarbów mineralnych, dostarcza Alaska najpiękniejsze na świecie futra; następnie połów fok, polowanie na renifery, a także na wieloryby (to ostatnie odbywa się przeważnie koło wysp Aleuckich), stanowią również poważne źródło dochodów. Rybołówstwo znajduje się w stanie niemniej kwitnącym, zatrudniając przeszło 2000 białych i 3000 Chińczyków. Pewien podróżnik, zaproszony przez dyrektora jednego z syndykatów, opowiada, że był świadkiem, jak w przeciągu dwóch godzin wyłowiono 3200 funtów ryb. A i ten rezultat, który nam wydałby się wprost nieprawdopodobnym, uważany był za niepomyślny, gdyż nieraz zdarzało się, iż dwudziestu Indian w przeciągu jednego dnia wylawiało przeszło 50 ton śledzi, makreli, łososi i t. p.

Południowa część Alaski obfituje w piękne lasy, i z chwilą zniesienia surowych praw, ograniczających ich trzebież, Amerykanie i na tem polu znajdują źródło znacznych dochodów.

Bądź co bądź jednak, wszystkie inne skarby Alaski maleją w obec jej bogactw mineralnych. Złoto przeistoczy, podniesie i zaludni ten kraj i opromieni go sławą. Jak tylko rozeszła się wieść o odkryciu pokładów cennego kruszcu na brzegach Klondyku, cały świat zawrzał jak podówczas, w r. 1847, gdy odkryto żyły złota w Kalifornii. Zastępy żądnych złota puściły się w drogę, nie bacząc na tysiączne przeszkody. Pogardzając wszelkimi niebezpieczeństwami, jakimi były najeżone nieznanne, nietknięte ludzką stopą

drogi, nieraz zagładając strasznej śmierci w oczy, śmiałowie ci dopięli celu i na lodowcach i śnieżnych polanach nowe miasta powznosili.

(Dokończenie nastąpi).

Kronika działalności kobiecej.

— Niedawno temu, wspominałam na tem miejscu o talencie kompozytorskim muzycznym pani Seweryny Keizerowej, dziś, z przyjemnością dodać mogę, że mamy w Warszawie młodą a pełną zdolności i znaną już na szerokim świecie artystkę, która tak grą swoją, jak i pracami muzycznymi zjednała sobie daleko za granicą imię i wschodzącą pięknie sławę. Młodą kompozytorką jest Warszawianka, panna Wanda Landowska, która od lat dziecińczych, bo od ósmego roku życia objawiała wybitne zdolności, a pod kierunkiem wybornych tutejszych nauczycieli, jak s. p. Jan Kleczyński i Michałowski, a potem słynnego Urbana w Berlinie, wykształciła się gruntownie w grze fortepianowej, teorii muzyki i instrumentacji. Utwory jej grywane przez nią samą lub innych artystów w Warszawie, Londynie, Paryżu, New-Yorku, Petersburgu, zyskały najzupełniejsze uznanie krytyków naszych i obcych, a w roku 1894 w Warszawie, na koncercie historycznym wprowadziła w podziw znawców wykonaniem utworów Händla i Bacha. Własne koncerty kompozytorskie dawała panna Landowska w Warszawie, Berlinie, Petersburgu i Magdeburgu, a obecnie jest zaproszoną do wzięcia udziału w wielkim historycznym koncercie w Lipskim Gewandhauzie, gdzie dnia 8-go Marca wykona utwory Bacha. Z prac p. Landowskiej wyszły dotąd u Szlezyngera w Berlinie: a) Quatre morceaux caracteristiques, b) Deux morceaux ro-coco, c) u Gebethnera i Wolffa 6 Pieśni na 1 głos z towarzyszeniem fortepianu. Obecnie przygotowuje do druku Suitę orkiestrową na smyczkowe instrumenty, wykonywaną przez orkiestrę na koncercie w Berlinie, oraz posiada w tece dwie wariacje na temat własny, kilkanaście utworów fortepianowych i kilkadziesiąt pieśni. Młody a pięknie rozwijający się talent panny Wandy Landowskiej zjednał jej już sympatyę i zajęcie się jej natchnieniem ze strony znawców i publiczności i niezawodnie coraz dalej rozkwitać będzie na tem nowem dla kobiet polu twórczości, na jakie nasza rodaczka tak pomyślnie wstąpiła. Młodość i praca doprowadzą ją do coraz szerszej sławy, jakiej jej też serdecznie życzymy.

— W Delegacji pracy kobiet przy Muzeum przemysłu w Warszawie obradowano świeżo

nad sposobami podniesienia i uporządkowania rozwoju pracy naszych pracownic na polu przemysłu, handlu i krawiectwa, oraz nad koniecznością ułatwienia pracownikom przebywania latem na wsi, gdzieby przy pracy przynoszącej zarobek, mogły też odetchnąć po ciężkiej i nużącej pracy w mieście. Delegacja czyni co może, aby dodatni wpływ wywierać na ogólny pogląd na pracę niewieścią samychże pracownic i działała już niejedno dobre, byleby właśnie ogół kobiet pracujących zechciał brać wspólny udział w tych usiłowaniach.

— Zapadła uchwała Rady Państwa, że pozostające na służbie kobiety-lekarze, w razie wejścia w związki małżeńskie, nie tracą praw i przywilejów służby państwowej.

— W Stuttgardzie osiedliła się pierwsza kobieta jako doktor medycyny; jest nią pani von Siebold z domu Stopff. Wrożą jej powodzenie, bo nie jest to nowicyuszka, lecz osoba poważna, mająca już za sobą lat 20 praktyki lekarskiej, oraz autorskie imię, które zdobyła sobie powszechnie znaną książką „O higienie niemowlęcia.“

— Królowa Rumuńska, Carmen Sylva wydała nowe opowiadanie pod tytułem: „Legenda dobrej królowej.“ Dzieło to, zanim się pojawi po niemiecku, wyjdzie w tłumaczeniu francuzkiem i rumuńskim. Królowa nie ustaje w pracy literackiej i prowadzi ciągle studia swoje dalej nad etnograficznymi wiadomościami i psychologią ludzkiego serca. Nie dziwi też w jej pracach taka nieraz szczegółowa znajomość świata i usposobienie ze sfer zupełnie napozór dla niej obcych.

— Theresina Lambriola, młoda Włoszka, jest pierwszą kobietą, która w Rzymie dostąpiła tytułu doktora praw. Mając lat 17, zdała świetnie egzamin abiturientki i razem z bratem swoim słuchała wykładów prawnych. Przygotowywali ją pierwsi sami rodzice: ojciec, profesor Antonio Lambriola, pedagog i historyk i matka, gruntownie wykształcona Niemka z domu von Sprenzer. Jej rozprawa doktorska nosi tytuł: „Prawo cześci.“ Na włoskim półwyspie bardzo mało jeszcze kobiet oddaje się poważnym uniwersyteckim studjom, bo też ani szkół przygotowawczych nie ma, ani wybitnego i świadomego ruchu niewieściego, który po za skrajnością paru kółek postępowych wytknąłby drogę do istotnych naukowych i praktycznych celów.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się: ark. 6-ty powieści, p. t. *Adolf Ribbing*, przez M. E. Coleridge. Przekład z angielskiego Z. S. Tom II-gi.

OD WYDAWCY.

„Bluszcz“ w przyszłym kwartale wychodzić będzie pod dotychczasowymi warunkami.

Szanownym prenumeratorom z prowincji przypominamy wczesne wznowienie prenumeraty, dla uniknięcia zwłoki w przesyłce numerów.

Treść: Do kobiety, przez Wiktora Dzierżanowskiego.—Postacie niewieście w poezjach L. Kondratowicza. Studium psychologiczno-etyczne, przez Stanisława Ostrowskiego (dalszy ciąg).—Kazimierz Gliński. Krzywda. Powieść (dalszy ciąg).—Korespondencja z prowincji, przez P. Zieleniewską.—Pamiętniki Adaminy z Bielskich Moszczeńskiej, przez J. Moszczeńską (dalszy ciąg).—Alaska i poszukiwanie złota.—Kronika działalności kobiecej.

Dodatek obejmuje: *Adolf Ribbing*, powieść, przez M. E. Coleridge. Przekład z angielskiego Z. S. arkusz 6-ty. Tom II-gi. — Przegląd mód. 18 wzorów i robót z opisem.—Sekreta gospodarskie.—Dyspozycya obiadu.

KORESPONDENCYA PARYZKA.

Przegląd Mód.

Paryż, d. 5 Marca 1899 r.

Za dni kilka Paryż wystąpi w wiosennych strojach, wykończających się w tej chwili po pracowniach. Ze stosu prób, nadesłanych z rozmaitych wielkich składów, bławatnych materiałów, można wnioskować, iż piękne cienie sukna trzymać będą prim tego sezonu. Wynik to zapewne dzisiejszej formy długich sukien, koniecznie wymagających pięknie się rzucających materiałów.

Wogóle spódnice sezonowe będą miały charakter sukien powłóczystych. Tylne bryty krążą się o 10 centymetrów dłużej od bocznych, te zaś razem z przodem są o tyle długie, żeby bucików widać nie było. Jak widzimy moda nie pomyślała o wygodzie, lecz co prawda, unosząc zazwyczaj suknie w górę, wszystko jest chyba jedno, czy owa suknia będzie dłuższą, lub krótszą.

Zresztą wobec spódnic dzisiejszych nie dublowanych podszewką, musimy koniecznie unosić spódnice dla oszczędzenia i zabezpieczenia ich od zupełnego i szybkiego zniszczenia. W obec takiej mody halki zajęły pierwsze miejsce i stosy tych eleganckich spódniczek zalegają wystawy sklepowe. Po większej części do staranniejszego i cokolwiek strojnieszego ubrania, najstosowniejszą spódniczką będzie jedwabna, strojnie u dołu wykończona, podszyta sztywną plisą. Jednak nawet w garderobie najwykwintniejszej elegantki, musi się znaleźć wełniana, morowa, lub pół-jedwabna halka, służąca na błoto, podróż, lub do letnich tualet. Ładne a przede wszystkim bardzo praktyczne są halki z cienkiej alpagi, zakończone jedwabnymi falbankami. Takie falbanki sznurkami naszyte, są sztywne i doskonale wierzchnią suknię podtrzymują. Kieszenie umieszczają się obecnie w halkach i aby się do nich dostać, unieść trzeba wierzchnią spódniczkę, jakim ten zwyczaj okaże się w praktyce nie wiadomo jeszcze, gdyż są to dopiero pierwsze próby, a te choć się udają, nie mogą jeszcze wyrokować o powodzeniu. Spódnice wierzchnie są tak przesadnie obcisłe w górze, iż każda, choćby najmniejsza fałdka stanowi dysonans i dla tego kieszenie umieszczono tak daleko. Wiele spódnic jest zapiętych z boku, tak aby tylny bryt przysłał zupełnie gładki i obcisły, gdyż lekkie falowanie na spódnicy może być zaznaczone dopiero od połowy długości.

Staniki obcisłe, uwydatniające figurę, są najmłodniejsze; małe krótkie westki do kostiumów sukiennych spacerowych, jako najodpowiedniejszą formą, są powszechnie przyjęte. Jedne z nich są otwarte z prostemi, odwróconemi wyłogami, drugie mają wyłogi wycięte w okrągłe zęby, naszyte złotymi lub fantazyjnymi guzikami. Do takiego kostiumu angielska szmizetka z jasnego lub białego sukna i długa krawatka, zwana „régate“ jest nieodzownym dopełnieniem.

Widziałam też wiele wiosennych kostiumów, przybranych „à l'écoisais.“ Tylko niech sobie nasze czytelniczki nie wyobrażają, iż jest tu mowa o zwykłym przybraniu ze szkockich rozmaitych materiałów, te szkockie naszytka kombinują się ze stosownie ułożonych wązkiech, różnokolorowych wstążeczek i złotego galonu.

O kolorach uprzywilejowanych trudno jest coś stanowczego orzec. Prześliczne kostiumy wiosenne i туаlety wizytowe lub strojne widziałam w kolorach: zielonym w kilku odcieniach, dzikim, „amande“, „Biscuit“, „amadou“, „cerise“, „fraise“

i czarnym. Czarny kolor ma również swoje różnorodne odcienia i te stosują się do rozmaitych przybrań.

Przechodząc od podstawowych rzeczy do szczegółów, zaznaczę kilka nowości drobniejszego znaczenia. I tak: tak powszechnie noszone, sznelą muszkowane woalki stanowią wychodzą z użycia, pomimo protestu wielu dam, przyzwyczajonych do tego rodzaju ochrony twarzy. Do najmłodniejszych zaliczone będą woalki z cienkich, krzyżujących się nitek, jedwabnej, delikatnej koronki, oraz woalki z koronki „Chantilly“, narzuconej gęstym deseniem, zakończonym szlakiem. Sposób wiązania jest obecnie dwójaki: jeden krótki, sięgający tylko do ust, drugi — zakrywający brodę i uszy. Końce woalki w obydwóch razach wiążą się na węzeł, ułożony na kapeluszu w kształcie „choux.“

Co do obuwia, to do stroju większego do wizyt powozowych, do teatru, na koncert, bal

lub raut, trzewiki lub pantofelki z wysokimi lub pół-wysokimi obcasami są najwięcej obecnie noszone. Angielskie, wygodne i dystyngowane obuwie, opatrzone zupełnie płaskimi, niskimi obcasami, stosować się będzie jedynie do kostiumów spacerowych, do wycieczek w góry, do podróży, dłuższej, pieszej przechadzki i t. p., jako obuwie przede wszystkim odpowiadające wymaganiom higieny.

Rękawiczki do strojnieszego ubrania pozostały glansowane białe, kremowe, jasno-lila, z warunkiem, aby były nieposzlakowanej czystości. Duńskie rękawiczki najstosowniejsze są i pozostają do wszelkich mniejszych tualet, do spacerowych kostiumów, podróży i t. p.

Długie złote lub fantazyjne sznurki na szyję są jeszcze w wielkiej modzie. Tego roku doczepiają jeszcze do nich małe breloczki, co bardzo oryginalnie wygląda. Młode panienki nie noszą sznurków, natomiast noszą zegarki na wązkiej wstążeczce. L. S.



Nr 1. Ubranie wiosenne.
(Opis w Bluszczu Nr 9).



Nr 2. Kapelusz dla młodej osoby.
(Opis w Bluszczu Nr 9).

Paltocik wiosenny, przybrany aplikacją.

Rycina Nr 4.

Zapięty na dwa rzędy kryształowych guzików, paltocik z jasnopopielatego sukna, zaokrąglony po bokach, z tyłu dosyć długi, z przodu krótki, zakończony jest rodzajem szerokiej patki. Przybranie stanowią wyłogi, połączone z odstającym, wysokim kołnierzem, wyszyte białą, jedwabną materyą, pokrytą aplikacją z sukna, oraz plisa sukienka, wycięta w zęby, przystębnowane przez przody, plecy i poniżej stanu. Gładki rękaw przy ręku przestębnowany jest kilkakrotnie w zęby.

Suknia z tiuniką.

Rycina Nr 5.

Materyał: wełna w granatowym kolorze, przybranie: białe sukno, aksamit granatowy i haft. Spódnica z falbaną, przykryta z przodu fartuszkową tiuniką, z tyłu zapięta na drobne guziczki. Brzeg tiuniki ozdobia haft sznelką w ciemniejszym od materyału odcieniu. Stanik, jakby podwójny, jeden z gra-

natowego aksamitu, drugi z materiału sukni, haftowany brzegiem jak tiunika, wycięty jest wokoło i otwarty wazko aż do stanu. Wycięcie wypełnia karczek z białego sukna, zahaftowany granatowym jedwabiem, przedłużający się do paska z aksamitu, spiętego na kokardę. Rękawy zakończone w górze rodzajem płaskiego epoletu z aksamitu, przy rękę przybrane są haftem.

Ubranie wiosenne, oraz boa i kapelusz.

Rycina Nr 6.

Strojne ubranie z brudno-czerwonego kaszmiru, składa się z gładkiej spódnicy, haftowanej z przodu sznelką. Haft tworzy cztery pionowo naszyte szlaczki. Stanik wycięty, przybrany jest wylogami z białego jedwabnego materiału, pokrytemi haftem i podłożony karczkiem z plisowanej czerwonej gazy. Brzeg wylogów zakończy plisowana, gazowa falbanka. Na pasek użyty jest czerwony aksamit.

Slicznym dopełnieniem ubrania jest kapelusz z fantazyjnej pleśni w kolorze beige, przybrany girlandą liści, oraz boa z białych strusich piór, lekko cieniowanych czerwonym kolorem.

Ubranie cyklisty dla chłopca od 10—11 lat.

Rycina Nr 7.

Praktyczne i ładne to ubranie z brązowego szewiotu, składa się z krótkich spodeńków, zapiętych przy kolanach na trzy rogowe guziki i z wygodnej, obszernej bluzki, podszytej szkocką, jasną flanelą. Przy karczku, do którego przyszyta jest bluzka, umieszczone są z przodu dwie małe kieszonki. Zapięta na rogowe guziki bluzka, poniżej stanu ściągnięta jest pasem z tegoż samego materiału. Szyję obejmuje wykładany kołnierzyk. W odpowiednim kolorze miękka czapeczka z pomponem dopełnia ubrania.



Nr 3. Peleryna wiosenna (Opis w Bluszczu Nr 9).

Paltocik wiosenny.

Rycina Nr 9.

Stosowny szczególnie dla wysokich, szczupłych figur, paltocik ten z popielatego sukna, zapięty na dwa rzędy metalowych guzików dobrze przystaje do figury i gładką, długą baskiną obejska biodra. Przybranie stanowi aplikacja z aksamitu, w ciemniejszym odcieniu, tworząca desenie na rękawach i wokoło baskiny. Duże wylogi, podłożone są plisą z aksamitu, którym także wyszyty jest wysoki, odstający kołnierzyk. Białe filcowy kapelusz, przybrany jest szarą wstążką i egretą z piór.

Sukienka i kapelusz dla dziewczynki od 6—7 lat.

Rycina Nr 10.

Sukienka z wełnianego materiału, w białe i niebieskie paski, składa się ze spódnicy, wykonanej na niebieskiej satynie i ze staniczka, ułożonego w rodzaju szelek w kontrafaldu. Stojący kołnierzyk podwiązany jest krawatką z ciemno-niebieskiej jedwabnej materii, końce zaś krawatki przytrzymuje pasek z niebieskiego atlasu. Okrągły kapelusik, przybrany wstążką w białe i niebieskie paski, słownie dopełnia zręczne to ubranie.

Wiosenny płaszcz, oraz kapelusz dla dziewczynki od 11—12 lat.

Rycina Nr 11. (Krój odwr. strona tablicy Nr IX, fig. 78—84).

Ładny, wygodny, zupełnie luźny płaszcz, z ciemno-ponsowego sukna, zakończony jest u dołu okrągło wykrajaną falbaną i kryty z przodu zapięty. Wylogi przykrywa czarny aksamit, tymże wyszyty jest od wewnątrz stojący, niewielki kołnierzyk. Płaszcz na szwach i woko-



Nr 4. Paltocik wiosenny, przybrany aplikacją.

Nr 5. Suknia z tiunika.

Nr 6. Ubranie wiosenne, oraz kapelusz i boa, dla młodej osoby.

ło wykończony jest stebnowką. Na bokach opatrzone kieszonkami. Sliczny kapelusik z białego fletu z prostym rondkiem, przewleczonem w jednakowych odstępach białą atlasową wstążeczką, przybrany jest dużą kokardą z szerokiej atlasowej wstążki.

Pas na fortepian lub na pianino.

Rycina Nr 12. (Deseń odwr. strona tabl. fig. 97 i 98).

Pas z rypsowej materyi, w kolorze fraise, na 115 ctm. długi, 18 ctm. szeroki, podszyty lekką jedwabną materyą, ozdobiony jest haftem trzymanym w nikłych kolorach. Deseń haftu przedstawia girlandę laurowych liści i delikatnej barwy kwiatków, związaną w pośrodku wstążką, do której także przymocowana jest złotem haftowana lira. Dla wykonania haftu przerysowywa się wskazane na tablicy figury 97 i 98 i zapełnia się deseniem płaskim, atlaskowym, w niektórych zaś miejscach pozostawia się figury deseni, obhaftowane tylko wokół, tak, że widać wewnątrz nich materyę, stanowiącą tło. Tę samą girlandę można użyć jako haft do przybrania sukien, należy tylko wtedy usunąć z pośrodku lirę.

Haftowana teczka na nuty.

Rycina Nr 13. (Deseń odwr. strona tablicy fig. 97 i 98).

Ważną zaletą ładnej tej roboty stanowi łatwość jej wykonania. Kawalek sukna w dowolnym kolorze, 37 ctm. wysoki, 45 ctm. długi, składa się na połowę i po obu stronach przenosi się deseni, podług fig. 97 i 98. Deseń wykonywa się płaskim ścięciem kolorowymi jedwabiami, dodając dla ożywienia złoty sznurek. Po wykonaniu haftu zszywa się sukno odwrotną stroną, z brytem jedwabnej materyi, w odpowiednim do sukna kolorze, a mającym 45 cent. wysokości i 62 ctm. długości. Wystające części materyi, stanowią kieszonki wewnętrzne. Po odwróceniu, brzegi teczki zostają przestębnowane, a na bokach przyszywa się wstążki do wiązania, prócz tego, przy górnych brzegach teczki także sama wstążka przymocowana jest dla ujęcia, lub zawieszania.

Woreczek na robótki

Rycina Nr 14. (Deseń pierwsza strona tabl. fig. 49 i 50).

Dla sporządzenia woreczka należy wykrajać kwadrat 65 ct. z blade-różowej mory w atlasowe paski. Na jednej połowie tego kwadratu przenosi się dwie gałązki, podług deseni na fig. 49 i po obu stronach gałązek szlaczek podług fig. 50. Następnie na przeniesionym deseni naszywa się point-lace tasiemeczka, oraz tasiemeczka z medalionowej migardyzy. Po naszyciu tasiemeczek przymocowywa się je przy brzegach, atlaskowym ścięciem lub dzierganiem, reszta zaś deseni wypełnia płaskim ścięciem.



Nr 9. Paltocik wiosenny.

Po wykonaniu wysycia zeszywa się more, jak zwykle np. poszewki, marszczy się ją z pozostawieniem 13 centim. gładkiego materiału po obu stronach i umocowywa w środku woreczka, pod jedwabną podszewką tekturowe pudełko, mające 13 ctm. długości, 10 i pół ctm. szerokości. Przybrania woreczka dopełnia 3 ctm. szer. podwójna bufka z jasnej w odpowiednim do woreczka kolorze materyi. W górze przymocowane dwie wstążki morowe służą za ujęcie lub do powieszania.

Stojący kołnierzyk z żabotem.

Rycina Nr 15.

Na gładkim kołnierzyku z muslinu naciąga się marszczoną jedwabną gazę w dowolnym kolorze. Gaza, prócz tego, że w poprzek tworzy fałdki, jest kilkakrotnie przemarszczana pionowo. Na żabot potrzeba: 40 ctm. w kwadrat gazy oszytej koronką, przyczem trzeba uważać, że po 16 ctm. z każdej strony oszyte przerzucone jest na drugą stronę, tak, że w tych miejscach należy koronkę przyszywać stroną lewą. W tych właśnie miejscach materiał złożony na połowę marszczy się i przyszywa do kołnierzyka. Przy zapięciu z tyłu, kołnierzyk zakończony jest dwoma wachlarzykami z koronki.

Haftowana serwetka.

Rycina Nr 16. (Deseń odwrotna strona tablicy fig. 96).

Deseń przedstawia pęczek konwalii, wyszyty na serwetce z żółtawego płótna, lśniąca koloro-

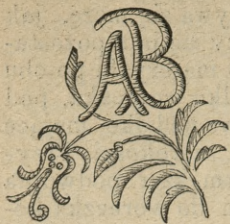


Nr 7. Ubranie cyklistki dla panienki chtëpca od 10—11 lat.

Nr 8. Ubranie cyklistki dla panienki od 13—14 lat. (Krój pierw. strona tabl. Nr II, fig. 12—24).

Nr 10. Sukienka i kapelusz dla dziewczynki od 6—7 lat.

Nr 11. Płaszcz wiosenny i kapelusz dla dziewczynki od 11—12 lat (Kr. odwr. str. tab. Nr IX, fig. 78—84).



Nr 12. Haftowany pas na pianino lub fortepian. (Deseń odwrotna strona tablicy fig. 97 i 98).

wą bawełną do prania. Ścieg wyszycia doskonale zrozumieć można z deseni, który oprócz pęczka konwalii podaje także szlaczek wokół serwetki.

Wstawka szydełkową robotą z naszytymi gwiazdkami.

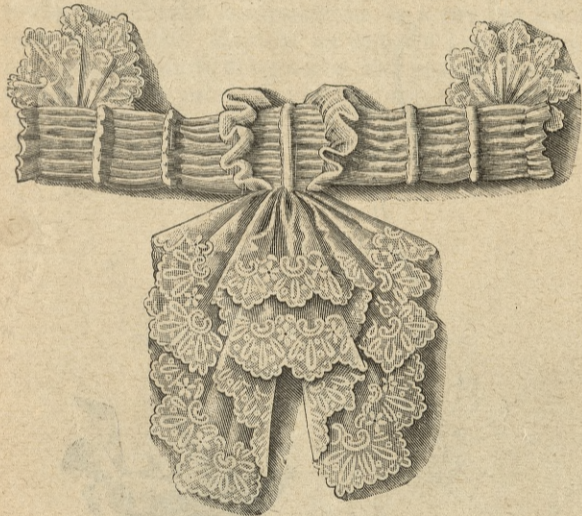
Rycina Nr 17.

Jedyną trudność przy wykonaniu bardzo łatwej, a przytem efektownej wstawki, stanowi naszywanie oddzielnych gwiazdek, wykonane w sposób używany przy wyszywaniu deseni, używanego do siatkowych koronek. Gwiazdki przymocowywa się do wstawki za pomocą point de reprise, w środku zakończają się je wydatnym kółeczkiem.

Haft na ekran, poduszki i t. p.

Rycina Nr 18 (do ryc. 7 w Bl. Nr 9). Deseń pierw. str. tabl. fig. 48.

Tło haftu stanowi blade-żółty atlas, deseń przedstawia gałązki hortensyi w ko-



Nr 15. Marszczony stojący kołnierzyk z zabotem.]



Nr 16. Serwetka haftowana. (Deseń odwrotna strona tablicy fig. 96).



Nr 13. Teczka na nuty, ozdobiona haftem. (Deseń odwrotna strona tablicy fig. 97 i 98).

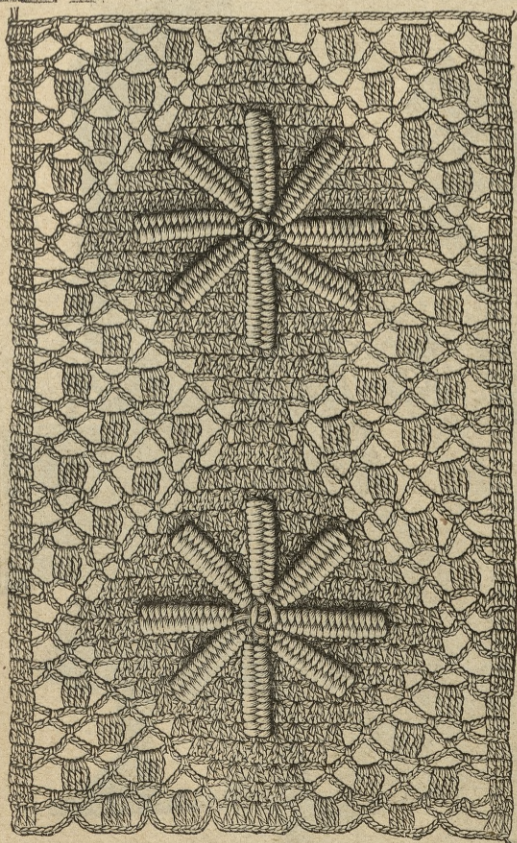
w wodę. Jak urosnie cała serweta, wyłożyć na serwetę, ręką wyrobić na podłużne, małe, płaskie bułeczki, ułożyć je na blasze masłem wysmarowanej, a gdy wyrosną, posmarować żółtkiem i wstawić w piec po chlebie. Po upieczeniu na gorąco zaraz lukrować, jeżeli kto lubi sucharki bardzo słodkie.

OBIAD NA NIEDZIELE.

1. Rosół z parzonymi kluskami.
2. Paszteciki w muszlach.
3. Omlet z cielęcymi nerkami.
4. Groszek zielony po francuzku.
5. Perliczki z kompotem.
6. Galaretką z wina.



Nr 14. Woreczek na robótki. (Deseń pierwsza strona tablicy fig. 49 i 50).



Nr 17. Wszewka szydełkową robotą z naszytymi gwiazdkami.

lorze blade-różowym, liście zaś w szaro-zielonym. Kwiatki nadzwyczaj efektownie wyglądają z naszytej na materii, białej, jedwabnej plecionki, liście natomiast i gałązki, wykonane są zwykłym płaskim haftem. Deseń przerysowywa się najpierw na muslin, ten zaś równo przyfastrygowany do materii, po skończeniu haftu delikatnie się wycina.

PRZEPISY GOSPODARSKIE.

SUCHARKI KRUCHE.

Kwaterkę surowej śmietanki, rozrobić 8-ma łutami dobrych drożdży, rozpuścić z funtem ładnej, wygrzanej mąki i pozostawić ciasto do wyśnięcia. Osobno 20 żółtek i 6 całych jaj razem ubić, wlać w zarobione ciasto, dosypując mąki tyle, aby ciasto pozostało tej gęstości, co na baby, dodać funt cukru miękiego, kwaterkę topionego masła i wybijać przez godzinę. Następnie włożyć ciasto do serwetki, lekko związać i włożyć



Nr 18. Haft na ekran, poduszkę i t. p. (do ryc. Nr 7 w Bl. Nr 9) Deseń pierw. str. tabl. fig. 48.

UWAGA. Tablica krojów, objaśniająca wzory ubiorów i robót w dzisiejszym numerze, dołączoną była do zeszłego numeru „Bluszożu.”